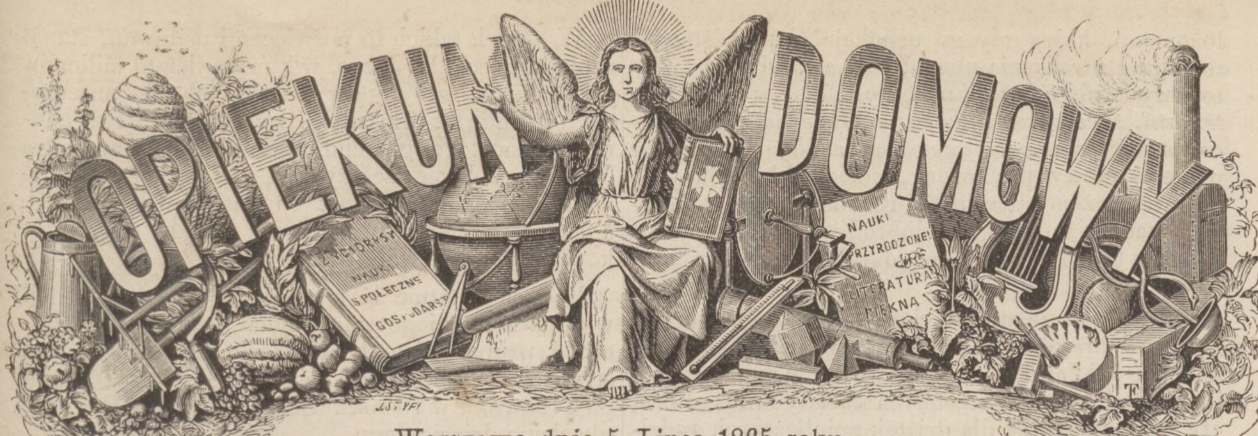


Warszawa dnia 5 Lipca 1865 roku.

Nr 27. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. – Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

PIOTR-GABRJEL BODUEN.

Niedawno w piśmie naszem podaliśmy wam życiorys Rhumkorfa, z którego mogliście się dowiedzieć, jak wytrwałość w pracy doprowadzić zdolna człowieka, ze stanu ubogiego i nieoświeconego, do zaszczytów i mienia, i uczynić go chlubą swego narodu. Łatwo jednak zrozumieć, że tu głównym warunkiem powodzenia, obok niczem niezrażającéj się pracy, jest wrodzona zdolność, która nadaje pewność siebie, popycha niepowstrzymanie ku czemuś nieznanemu wprawdzie, ale w duszy przeczuwanemu. To pragnienie dojścia do tego tajemniczego celu, mającego urzeczywistnić nasze złote marzenia, nie daje nam spocząć w życiu, znagla do ciągłéj działalności, do doskonalenia siebie, osładza gorycze, toruje najeżoną przeszkodami drogę. Zdaje się, jakby niewidzialna ręka Opatrzności, prowadziła swego wybrańca, po nad skały i przepaści, tak, że ludzie zdumiewają się nad jego odwagą, i w końcu albo uwierzą w jego posłannictwo i uwieńczą zasługę, albo też, co niestety! często się zdarzało, przemocą strącą w otchłań wielkiego męża, bo światłość z jego lica bijąca, słaby wzrok ich olśniewa. Przypomina się tu wam żywot naszego Zbawiciela.

Nie wszyscy, widzicie, powołani tu do wielkich czynów.

Jest wszakże jeden przymiot w każdym człowieku, w którym przy wytrwałości cudów dokazać może. Tym przymiotem jest—dobre. Wytrwałość w dobrem, zakłada sobie cel widoczny, do którego jedynie dla szczęścia bliźnich niezmordowanie podąża, nie dając się uwieść żadnemi pobocznemi względami. Zapał ku dobremu powinien ożywiać i uzacniając ducha, w końcu uszczęśliwić zdoła. Niektórym, przy takiem usposobieniu, prosty niekiedy nic nie znaczący dla pospolitych ludzi przypadek, odkrywa wyższe cele, dopięcie których staje się w jednéj chwili, zadaniem całego już życia. To światło błyskawicy, które znużonemu przeciwnościami wędrowcowi, śród otaczającéj pomroki, rozświeci dalszą przestrzeń, i wskaże obraz cudnego uroku, który już przyświecać mu będzie na dalszéj drodze żywota, zanim jego praca nie zamieni się w rzeczywistość.



Ksiądz Boduen.
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Styfi).

Do takich wytrwałych w cnocie mężów należy: *Piotr-Gabrjel Boduen* (Baudouin), któremu tu wspomnienie poświęcić zamierzyliśmy. Francuz z urodzenia, w Polsce zjednał wiekopomną pamięć, i nieprzestanie być dla nas wzorem, przedmiotem uwielbienia. Już jako kapłan, przybył w roku 1717, wysłany przez swoją zwierzchność duchowną, do księży Missjonarzy w Warszawie. Tu się nauczył języka polskiego i dzielił prace parafialne, ćwicząc się bezustannie w cnotach chrześcijańskich.

Kiedy raz, zatopiony w myślach, przechodzi ulicą, nagle spostrzega psa unoszącego pokrwawioną główkę i resztki członków niemowlęcia. Ten widok przeszył go zgrozą, i zarazem rozbudził w jego zacnem sercu myśli i żądania, które od téj chwili stały się przedmiotem całéj jego przyszłości. Nie trudno mu było dociec przyczyny ohydnego zdarzenia, tym bardziéj, że już i przedtem starał się zapewnić, podług możności, przytułek opuszczonym w chwili urodzenia od ojca i matki sierotom, i rzuconym na pastwę losowi.

Ze łzami opowiedział zaraz wypadek swemu prze-

łożonemu, który gdy go uspokajał i przedstawiał trudności zaradzenia złemu; *nie ojcze*, odrzekł świątobliwy kapłan: *dozwól mi tylko działać, a ufam Opatrzności, że czego nasz fundator dokonał w Paryżu, tego synowie jego w Polsce dokonać zdołają.* Wzruszony temi słowy przełożony, udzielił błogosławieństwo na ciężką pracę, któréj rozmiarów nawet przewidywać nie mógł. Snać dobrotliwe Niebo wysłuchało w téj chwili błagalnego westchnienia księdza Piotra.

Odtąd życie jego było ciągłem zaparciem się siebie dla dobra bliźnich. Ze zebranych składek kupił Boduen w Warszawie, pałac zwany Karasiowskim, i tam pod opieką osadzonych Siostr Miłosierdzia, otworzył przytułek dla dziatek najuboższych rodziców i dla pozbawionych wszelkiéj opieki sierot, ćwicząc je w cnotach, nauce i rzemiosłach; niemowlęta zaś, których liczba do 200 wynosiła, porozdawał na żywienie mamkom w mieście i po wsiach.

Gdy liczba jednych i drugich istot, których stał się opatrznością, ciągle wzrastała, cnotliwy kapłan, sam bez żadnych zasobów, ufny tylko w miłosierdzie Wszechmocnego, zamierzył utrwalić rozpoczęte dzieło, które, któż wie, inaczéj po jego śmierci w coby się obróciło. Wsparty szczodrobliwością kilku możnych osób, zakupił plac obszerny w parafji Świętego Krzyża leżący, i na nim wybudował Instytut dla dzieci podrzutków, sierot, ubogich i babek, pod nazwą: *Dzieciątka Jezus.*

Nie możemy pominąć milczeniem wiekopomnego przykładu chrześcijańskiéj prawdziwie pokory, jaki nam zostawił Boduen. Oto, razu jednego, podczas pobożnéj pielgrzymki od progu do progu domów miasta Warszawy, w jednym z nich natrafił na liczne towarzystwo zajętych grą hazardowną, kupy złota przesuwały się co chwila z miejsca na miejsce, ścigane pożerającemi wzrokami, chciwych występnéj zdobyczy namiętnych graczów. Korzystając z chwilowéj ciszy, ksiądz Boduen skromnie, ale śmiało, objawił cel swego przybycia, prosząc o datek. Ofuknięty grubijańsko, nie ustępował przecież, ciesząc się w myśli, że Bóg zmiękczy zatwardziałe serca, i że proszący w imię cierpiących bliźnich nie odejdzie bez obfitego plonu. Jeden z grających, oburzony zuchwałą w jego oczach natarczywością kapłana, uderza go w policzek, dodając szydercze słowa: oto masz jałmużnę! „To dla mnie, odzywa się ks. Boduen, a cóż dla moich dzieci?" Słowa te, mówiące o Boskiem posłannictwie, stłumiły w mgnieniu oka rozpasaną namiętność w obecnych, i złoto posypało się do rąk ubogiego zakonnika.

Dla dokonania budowy szpitala, który 30,000 czerwonych złotych miał kosztować, musiał czcigodny kapłan narażać się na tysiące kłopotów, zmartwień i obelg. Ale też jego nieugiętość i szlachetność, na każdym okazywana kroku, zjednywały mu serca szlachetne. Raz nie mając z czego uiścić tygodniowéj zapłaty robotnikom, udał się do pewnego kupca, który wystarał się dla niego o dwa tysiące, mając obiecany najrychlejszy zwrot. Kiedy z pieniędzmi wraca do domu, spotyka jadące karetą jakieś panie, które wołały na niego: Ojcze! jak się mają twoje dzieci? jak idzie twoja fabryka? Bardzo źle moje panie! Jedź z nami ojcze, mówią do niego, i po zrobieniu składki, obdarzają go znaczną summą. Boduen wraca natychmiast do kupca i zwraca mu wzięte przed chwilą od niego pieniądze.

W skutek takich to poświęceń i usiłowań, stanął szpital Dzieciątka Jezus, w którym ileż to milionów już ludzi znalazło ulgę w cierpieniach, ile opuszczonych niemowląt przytułek i wychowanie! Przechodząc mimo tego gmachu, uczcijcie wspomnieniem imię świątobliwego założyciela, uświęćcie westchnieniem jego pamięć. Wart on naszéj wdzięczności, a na zawsze będzie przyświecać nauką, czego dokonać może wytrwałość w dobrem.

Boduen ostatnie lata swego żywota przepędził w ukończonym jego pracą szpitalu, ciesząc się w duchu i uzupełniając dzieło swoje, udzielaniem rad strapionym i pociechy bolejącym. Tu dnia 10 lutego 1768 roku w 79 roku wieku, zasnęło w Bogu, to ukochane dziecię Jego.

Alojzy Kuczyński.

LEGENDA.

Onego czasu, gdy z uczniami swemi
Zbawiciel świata obcował na ziemi,
Idąc raz z niemi i tocząc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę;
Rzekł więc do Piotra: „weź to!"—lecz Piotr w sobie
Myśli: „a co ja z tém żelaztwem zrobię?"
„Nie warto trudu!"—i do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał, że nie słyszy.

Mistrz się uśmiechnął:—bo właśnie w tę porę
Tłumaczył świętą, prawdziwą pokorę;
Lecz nie rzekł słowa: i gdy ci mijali,
Sam się nachylił, podniósł—i szli daléj.

Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do niéj,
I ukazując podkowę na dłoni,
Rzekł do kowala: „Daj ile chcesz za to!"
Dał grosz. Szli daléj. A było to lato
I skwar. Spotkali niewiastę: szła z koszem
Wiśni do miasta. Mistrz zaszedł jéj z groszem:
„Ile za niego?"—Dała trzy jagody,
Mistrz wziął. Szli daléj. Kraj pusty, bez wody,
Skwar wzrastał. W tem mistrz, jakby nie umyślnie,
Idąc przed Piotrem, rzucił jednę wiśnię,
Piotr zgiął się, podniósł, zjadł—smaczna!—szli daléj;
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali;
Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku rzucił wiśnię drugą;
Piotr znów się schylił, podniósł i pomału
Ssąc w ustach, tłumił zasuchę upału,
Szli daléj. Aż znów Mistrz jak przez przygodę,
Otrząsł z łodygi ostatnią jagodę;
Potoczyła się i zagrzebła w piasku,
Piotr skoczył ku niéj, ale gdy po blasku
Dojrzeć jéj nie mógł, jął szukać rękoma,
I niecierpliwy czuł, jak go oskoma
Bierze:—aż znalazł, otarł, i z pośpiechem
Już miał do ust swych włożyć; gdy z uśmiechem,
Mistrz się obrócił ku niemu i rzecze:
„Nieprawdaż? smaczne wiśnie, gdy skwar piecze;
Lecz rozmyślając com rzekł o pokorze,
To sobie także będziesz przypominał:
Że po podkowę raz zgiąwszy się w porze;
Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się zginał."

A. E. Odyniec.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

I.



Deszcz, który upadł w południe dnia 23 maja 185* roku, był prawdziwem dobrodziejstwem dla Warszawy. Odświeżył kurzem przesiąkłe powietrze, zrosił omdlone po ogrodach bzy, co jak samorodne bukiety napełniły się wonią, i nakoniec obmył stołeczne chodniki do wieczornéj przechadzki. Korzystając też z pogody, jaka zajaśniała po burzy nad wieczorem, tłumy warszawian wylegały, aby użyć tak mile przygotowanéj niespodzianki. Kochane nasze miasto przedstawia wtedy niezmiernie ożywiony obraz, gdy tłum spacerujący snuje się jak wąż bez końca i początku. Pośród tych grup różnorodnych, już to kroczących wolno, już zatrzymujących się dla wzajemnego powitania, lub pogapienia po trotoarze Krakowskiego-Przedmieścia, przesuwało się dziewczę, zręcznie omijając przechodniów, i kałuże niezupełnie jeszcze wyschłéj wody, jakie się niestety! tak często znajdują, po każdym deszczu na flizach warszawskich. Dziewczątko mogło mieć lat siedmnaście, jak jéj to patrzyło z milutkiéj pełnéj figlarności twarzyczki, ocienionéj bogatym splotem kruczych włosów, dźwigających na czubku maleńki z fantazją zarzucony kapelusik. Zgrabniutka figurka i maleńka nózia, opięta w trzewiczek na wysokim korku, wyglądająca kiedyniekiedy z pod zręcznie ugiętéj sukienki, nadawały dziewczątku minkę pretensjonalną i nieco zalotną. Każdy w niéj poznał nieodrodną warszawiankę. Nie dziw więc, że oko nie jednego przechodnia, chciwie zatrzymało się na téj wabnéj postaci, szczególniéj jednak zaciekawionym się zdawał jakiś jegomość ubrany wykwintnie i tak modnie, jakby tylko co odlepił się z żurnala mód paryzkich. Pan ten, od kilku już chwil postępował za naszą miluchną nieznajomą, śledząc ją za pomocą lufcika, w jedno wprawionego oko, co się nazywa binoklem. Kobiety posiadają ten przywiléj: że jeżeli nie spostrzegą, to przeczują zapewne komu się podobały, i dziewczę nasze także odgadło wzrok uwielbiający owego jegomościa, nie było niem jednak zakłopotane, ale przeciwnie, snać podchlebiało to próżności, uśmiech bowiem leciuchny przebiegał raz po raz po kolorowych usteczkach, a spojrzenie pięknych niebieskich ocząt, spotykało się dość często, z lufcikiem onego jegomościa.

Ściemniać się już zaczynało coraz bardziéj, pora więc stawała się nader właściwą do tak nazwanych zaczepin ulicznych, do których niestety w owym czasie tyle pochopu uczuwali nasi ślifi-brucy warszawscy. Jegomość snać podobne miał zamiary, posuwał się bowiem wciąż krok w krok za panienką, przemyśliwał zapewne nad konceptem, którym miał zacząć rozmowę. Przypadek, ten złośliwy djabełek opiekujący się szlifi-brukami i zalotnemi pannami, usłużył mu lepiéj, niż najdowcipniejszy pomysł jego ufryzowanéj mózgownicy. Drobna bowiem nóżka dziewczęcia, przy obrocie na Sewerynów, obsunęła się o jakiś śliski kamień i zgrabna figurka już... już... pochyliła się do upadku... gdyby pomoc wyrękawiczonéj dłoni nieproszonego opiekuna, nie przyszła w sam czas z podporą.

— Dziękuję! bardzo dziękuję! wyrzekła po same oczęta zarumieniona panienka.

— Podziękowanie tak pięknych usteczek jest mi dostateczną nagrodą, odrzekł jegomość rezolutnie, chwytając w lot sposobność rozpoczęcia rozmowy. Lecz abyś pani powtórnie podobnemu wypadkowi nie uległa, pozwol sobie podać rękę. Bruk tu niegodziwy! będę więc miał przyjemność odprowadzić panią do domu...

— Dziękuję! ach dziękuję! lecz ja mieszkam tak daleko... znów szepnęła panienka.

— Ale za takim aniołem droga do piekła nie byłaby za daleką, cedził komplement jegomość.

— Pan zapominasz, że anieli do piekła nie chodzą, zawołała figlarnie dziewczyna.

Jegomość przygryzł wargę, odrzekł jednak dworsko:

— Masz pani zupełną słuszność, spodziewałem się też właściwie zajść za panią do raju.

— To znowu byłeś pan w błędzie, gdyż zajdziesz chyba na Tamkę, albowiem tam mieszkam.

I przy tych słowach dziewczę skręciwszy z Sewerynowa, zaczęło się spuszczać tą spadzistą ulicą ku Wiśle.

— Pani tak szybko biegniesz, zawołał znów, zadyszany jegomość, drepcząc po niewygodnym bruku.

— Już późno! co powiedzą rodzice?! mama będzie się gniewać!

— Masz pani rodziców w Warszawie? I mamę? z jakimś niesmakiem zapytał modny panicz, rzucając wdzięcznem machnięciem ręki lorynetkę z nosa.

— Tak panie! mój ojciec prowadzi *fabrykę* stolarską i w tym oto mieszkamy domku, szczerze odezwała się panienka, stojąc przed drewnianym dworkiem, jakich jest mnóstwo na Tamce.

Zauważajmy tylko, że wyraz *fabryka* oznaczał bardzo sobie ubożuchny warsztacik; lecz u nas w Warszawie od niejakiego czasu, każdy warsztat zwał się fabryką, a każdy rzemieślnik artystą.

— Pozwól się pani pożegnać, rzekł na to jegomość, ściskając rękę dziewczęciu... mam błogą nadzieję, że się widzimy nie raz ostatni...

— Dziękuję panu za grzeczność! Żegnam!! szepnięto i główka w kapelusiku, spódniczka i nóżki zapięte w maleńkie, na wysokich korkach trzewiczki, schowały się do sieni.

Jegomość chwilkę jeszcze stał na ulicy, rozpatrując miejscowość dworku, a potem mrucząc pod nosem: „a to niebrzydka dziewczyna!... daję słowo niezły interes....” szedł wolno, utykając, ku Nowemu-Światu.

Dziewczyna zaś, przystanęła w sieni i przysłuchiwała się ciekawie milknącemu odgłosowi kroków nowego swego znajomego. Później różowy paluszek przyłożyła do czoła i rzekła cichutko:

— Może ja i źle zrobiłam, rozmawiając z tym pa-

nem... ależ on taki grzeczny... i ładny... jak ubrany.. pewno jaki urzędnik bogaty... kto wie?! Przecież mi mama zawsze mówi, żem do czegoś lepszego stworzona!

II.

Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle.
(Przysłowie).

Nazajutrz, po owem ulicznem spotkaniu, p. Alfons, gdyż takie było imię jegomościa, siedział rozwalony na fotelu, popijając śniadanie w kawalerskiem swem mieszkaniu, którego frontowe okna wychodziły na Nowy-Świat. Dywanami zasłana podłoga, wygodne umeblowanie, mnóstwo fraszek wykwitnych i kosztownych tu i owdzie rozstawionych, świadczyły o zamiłowaniu w zbytku i elegancji szczęśliwego posiadacza tych apartamentów. On sam, odziany w bogaty i modny szlafrok, w piękne haftowane pantofelki, przeciągał się na miękkim fotelu, popijając złocistéj, w kryształową szklankę, nalanéj herbaty, lub też buchając aromatycznym dymem, z ozdobnéj fajki na długim osadzonéj cybuchu. Dumania pana Alfonsa, zapewne o wczorajszem zdarzeniu, przerwane zostały wejściem lokaja:

— Pani Rajfurska! meldował sługa.

— Prosić! odrzekł p. Alfons.

Lokaj uchylił portjery i przepuścił do saloniku ową damę. Pani ta zwolna podniosła zapuszczoną dotychczas woalkę i ukazała twarz, którą dość raz zobaczyć, aby już na zawsze spamiętać. Była to twarz nie młoda i nie stara, rumiana czy też wyróżowana, w dwa wielkie jak skrzydła nietoperza nioby przystrojona. Oczki małe, ruchliwe, wyrażały przebiegłość, a usta wązkie w wieczny uśmiech ułożone, zapowiadały fałsz i zdradę. Zresztą postać téj pani, ubranéj bogato choć bez gustu, na pierwszy rzut oka zdawała się przyzwoitą, gdyby nie to, że upadała na jedną nogę, co jéj w towarzystwach młodych szałaputów, nazwę: *kulawéj czarownicy* zjednało.

Jakie było zajęcie pani Rajfurskiéj, czytelnicy łatwo się domyślą z rozmowy, którą zaczął pan Alfons w następujący sposób:

— Ach! zawołał ziewając przeciągle, myślałem, że już dziś nie raczysz przyjść.

— Czylim panu chybiła kiedy słowa, odrzekła dość chrapliwym głosem pani Rajfurska, zasiadając nieproszona na blizko stojącym taborecie.

— Czyli ci za to nie płacę drogo?! bąknął przez zęby p. Alfons, puszczając wielki kłąb dymu.

— Tak! lecz zawsze nie tyle, na ile moja gorliwość zasługuje.

— Dawać tobie jest toż samo, co kłaść w dziurawy worek, lub też lać wodę do beczki bez dna. Lecz mniejsza... na później spory! teraz przystąpmy do interesu, na którym możesz nieźle się obłowić. Wczoraj spotkałem prześliczną dziewczynę! jakąś stolarczankę z Tamki.... aniołek....

I tu p. Alfons często puszczając kółka z dymu, co było dowodem dobrego humoru, opisywał ową panienkę i dworek na Tamce i spotkanie wczorajsze. Nareszcie tak kończył:

— Ty kulawa czarownico, co znasz na palcach wszystkie ładne buziaki w Warszawie dorosłe, a nawet i te, które dopiero dorastają, powiedz, czy sobie nie przypominasz tego pięknego stworzonka. Rajfurska chwilkę pomyślała, a potem odrzekła.

— Winszować panu gustu! Znam Joasię i jéj matkę osobiście... ale to rzecz trudna...

— No! no! tylko bez skrupułów, bo one w twoich ustach są śmieszne. Wynajdź jaki sposób poznajomienia mnię z temi kobietami.

— A którego to dziś?! zawołała rajfurka z żywością.

— Dwudziesty czwarty!

— Doskonale! Oto się nazywa być dowcipną. Wlot obmyślałam plan wyborny. Wszakże to dziś Ś-téj Joanny, a dzień ten obchodzony jest u rodziców Joasi z wielką uroczystością. Pamiętam, iż przed kilku laty, byłam nawet na takim balu. Mój Boże! umrzesz pan ze śmiechu, ujrzawszy jakie to towarzystwo tam się zgromadza. Otóż do nich zaprowadzę dziś pana, jako mego kuzyna...


Bardzo dziękuję! wyrzekła panienka.—(str. 215, szp. 2).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Szymborski).

Pan Alfons skrzywił się nieco na wzmiankę o kuzynostwie.

— No! dodała p. Rajfurska, wszakże nie będę pana prezentować pod jego własnem nazwiskiem. Powiemy, że jesteś urzędnikiem, ot tak mającym ze trzy tysiące pensji. Matka Joasi wiecznie marzy o podobnego rodzaju konkurencie trzechtysiącznym. No cóż, czy zgoda?

— Niech tak będzie, odparł p. Alfons, gładząc sobie bródkę i puszczając dwa kółka dymu, co znaczyło wielkie zadowolenie.

— A teraz pójdę na przewiady, zawołała p. Rajfurska, wstając z taboretu. Dla mnie praca— trudy... dla pana przyjemność. Przyjdziesz do gotowego. Oj szczęśliwy z ciebie człowiek. Tylkoż nagroda...

— Bądź spokojną! i p. Alfons wcisnął w dłoń jejmości kilka biletów bankowych, to na zadatek, dodał. Idź teraz, a po południu przyjdziesz mi zdać sprawę.....

Zacna matrona poufałem skinieniem pożegnała równie jak ona zacnego młodzieńca.

Przed laty, kobiety tego rodzaju znajdowały się dość licznie w naszem mieście. Pod spokojny dach ubogich rodzin, niosą one jedwabne słówka, zwodne nadzieje, pod któremi kryją się najbrudniejsze widoki. O lepiéj stokroć aby wąż jadowity wcisnął się w twoje kółko uboga rodzino, niż podobna kobieta. Rodzice drżeć przed nią powinniście! Biedna uczciwa nędzo! one się krwią twoją, łzami i wstydem córek twoich tuczą, póki nie zginą na śmieciach..... gdyż prędzéj czy później taki ich koniec czeka!

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYŚCIGI.

HUMORESKA.

Pan Rafał Zawała siedział po smacznym gospodarskim obiadku, w swojem poręczowem krześle, i w swojéj kancellarji, czytając wielkich rozmiarów gazetę. Było to w jednym z bardzo skwarnych dni maja, i komary nielitościwie już docinały. Pan Rafał czytał oganiając fularem wysokie wprawdzie, lecz łysc czoło, od natrętnego owadu. Na nosie niepośledních rozmiarów zasiadły wspaniałe, w złoto oprawne okulary. Wąsy długie, siwawe, zaglądały też końcami od czasu do czasu w szpalty pisma, łapczywie pożeranego przez ich pana. I cicho było w téj komnacie, poświęconéj regestrom i poobiedniemu wytchnieniu i nic nie przerywało milczenia, ani natrętny ekonom ani troskliwa magnifika, ani skomlący wyżeł, chyba jedno sapanie samego jegomości.

O, któż za tobą nie tęsknił godzino marzeń strawnego żołądka, godzino owych szczęśliwców, którzy grzecznie i z uszanowaniem poproszeni przez Walka w zielonéj kurcie lub kucharza w białéj szlafmycy, idą na długi rozgowor z rozlicznemi kuchennemi przysmaczkami, zaprawionemi to sosem, to jarzynką: aby potem zgnębiwszy ciało tak mozolnym trudem, usiąść wygodnie w szerokim fotelu (nieoceniony wynalazek) i podumać... choćby o drugim obiedzie?! Beatus qui possidet!... beatus qui procul negotiis, paterna rura..... [1]). Rura? fe, co za wyrażenie! gotowa która z łaskawych opiekunek Opiekuna Domowego, posądzić mnie o mechanikę! Otóż nie! pracuj! mawiał ś. p. Stefan Batory, *a faciam te mościpanie*, co przetłomaczone na styl dzisiejszy, znaczy: a będziesz jadł smaczny obiad.



Czylim panu chybiła kiedy słowa, — (str. 216, szp. 1).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Szymborski).

Pan Rafał lubił czytać gazety, nadewszystko Kurjera Warszawskiego. W nim to odszukiwał chwil minionéj młodości, w czasie któréj zjechawszy raz do Warszawy na pół roku, zwiedzał właśnie wszystkie te sklepiki, zjadał wszystkie te przysmaki, zapijał z wszystkich tych win, o których i dziś baczny Kurjer Warszawski zwykł wspominać. Dla tego też rubryka inserat pilnie była przez pana Rafała czytaną, no i co prawda, wszystkie nekrologi. Miły Boże! wszakże to tak miło postradać przyja.... chciałem powiedzieć, że miło wiedzieć czy się postradało przyja... nie, że miło jest wiedzieć czy żyją jeszcze przyjaciele i znajomi... Pan Rafał nie byłby usnął, gdyby Kurjerka nie przeczytał; chyba, że poczta nie nadeszła, w takim razie spał już spokojnie. Po skończeniu, wzdychał zawsze tęsknie p. Rafał, wzdychał za owemi rozkoszami, które podzielał lat temu dwadzieścia lub więcéj, a więc wzdychał za młodością. „Młodości podaj mi skrzydła!” wyrzekł poeta; pan Rafał nie pragnął skrzydeł, ale żal mu było, że nie mieszka w Warszawce. Lecz cóż! glebie się poświęcił, gleba wymagała jego talentu, na bruku byłby zmarniał! Więc osiadł z żoną, spokojną i poczciwą gosposią, i orał jakiś czas zadowolony. Niestety! duch wieku przeniknął wkrótce na wskróś, obojętnego nań dotąd Rafała. Duch wieku, a więc wynalazków, kolosalnych bogactw i chęci stania się galopem miljonerem. Pierwsze owianie tego ducha porwało pana Rafała w wir pomysłów, mających zakwitnąć najpiękniejszemi banknotami, lecz spełzłych na obojętności, niedojrzałości i nieznawstwie współczesnych. I tak: wynaleziona przez niego młockarnia, w któréj maszynerję włożył dwuroczną intratę, niezadowoliła nikogo z tak błahéj przyczyny, że młócić nie chciała; dalekonośna sikawka, zdolna gasić najhaniebniejsze pożary, nie podobała się na generalnéj próbie dla tego, że trzeba było zbyt długo pompować, jak gdyby każdy wynalazek od razu miał ludzkość zbawić! Słowem, nie szło panu Rafałowi.

Nadaremnie praktyczna małżonka, przeszkadzała mu w oddawaniu się tym mechaniczno-umiejętnym, intratę pożerającym wynalazkom. Nic nie pomogło, pan Rafał mówił z pewnością: „Ja cóś takiego wynajdę, co świat zadziwi, a mnie miljony przyniesie!”

Mógł sobie p. Rafał pozwalać, bo nie miał dzieci, a za to bardzo ładną 600 morgową wioskę, dobrze do tego przez skrzętną i pracowitą żonę zagospodarowaną.

Mógł także nic nie robić, mógł spać cały dzień, lub czytać gazety. Mógł, ale nie chciał, bo wolał robić sikawki, bo myśl nagła olbrzymiego zbogacenia się, nie zaprzestała ani chwili zaprzątać jego głowy.

Już czytał z jakie pół godziny, i już go nawet po troszę sen ogarniał, gdy nagle, rzuciwszy po raz ostatni okiem na gazetę, zerwał się z krzesła równemi nogami, klapnął ręką tak głośno w wyniosłą łysinę, iż się aż echo odbiło na podwórzu, i zawołał rozpromieniony: „Mam cię! Jeszcze raz spojrzał w gazetę, jeszcze raz klasnął się w czoło; jeszcze raz krzyknął: „O bałwanie!” a potem wybiegł jak strzała, wprawdzie 50-letnia.

Nazajutrz stroskana małżonka do godziny piątéj popołudniu czekała na męża z obiadem. Ta niezwykła niepunktualność, mocno ją zaniepokoiła, posłała więc za jegomością Grzelę, Baśkę i Kachnę. Nikt jegomościa znaleść nie mógł. Dopiero nad samym wieczorem wrócił jegomość, omączony cały, i tak zasępiony, że ani naszczekiwanie żony, chciałem powiedzić budrysa, ani potok słów żony, nie zdołały go ocucić.

[1]) Szczęśliwy posiadacz, szczęśliwy kto zdala od interesów (uprawia) ojczyste pola.....

— Co ci jest Rafałku? mocnom się już turbowała.

— Nic, nic.

— Lecz gdzieś tak długo siedział — aż mnie już apetyt odszedł, a placuszki, co je tak lubisz z serem, już na nic Rafałku; cóż ci to?

Pan Rafał machnął ręką w sposób znamionujący wyższość umysłu.

Pani Rafałowa, przypatrzywszy się chwilkę mężowi, rzekła niechętnie:

— Pewnie ci znowu w głowę zajechał jaki głupi wynalazek. Boże odpuść, co ty zawsze wyrabiasz!

— Mylisz się kapliczko, (kapliczką lub bąbeleczkiem zwał żonę od miodowych tygodni), żaden to wynalazek.

— Bogu dzięki! no chodźże już, aby prędzéj.

Lecz pan Rafał kroku nie przyśpieszał, owszem przystanąwszy, nagle żonę zagabnął:

— Co też ty sądzisz, wiele ja ważę?

Małżonka spojrzała nań wielkiemi oczami, lubo w rzeczywistości bardzo miała małe.

— A toż co nowego?

— No zgaduj kapliczko, proszę cię.

— Nie plotłbyś głupstw, chodź oto jeść.

— Kiedy cię proszę bąbeleczku, jak mnie kochasz, powiedz co ja ważę?

— Nie nudziłbyś, czy co przystąpiło do ciebie?! przeżegnała się pani Rafałowa.

— To mnie kapliczko nie kochasz? powiedz, powiedz! P. Rafał począł się na prawdę przymilać, czemu oprzeć się nie mogąc wybranka jego serca, rzekła z uśmiechem:

— No już to pewnie więcéj jak ja!” Pani Rafałowa dość była otyłą.

— Ha, ha, ha, ty skowroneczku, bąbeleczku, tyś przy mnie żabką, ty może masz ledwie półtora cetnara. Ja niestety!—tu się znowu strasznie zasępił, ja ważę bardzo dużo!

— No i cóż z tego, przecie ci wolno ważyć, wiele ci się podoba?

— Nie wolno, nie. Wiedz żonusiu, że teraz albo nigdy. Wiesz ty coś nowego?

To mówiąc, przybliżył się, potem rośmiawszy się z całego gardła, i odskoczywszy dwa kroki w tył, zawołał: „Wyścigi w Warszawie!”

— No to i cóż?

— Co? wiesz ty, że były teraz wyścigi w Epsom, i że hrabia Lagrange wygrał trzy zakłady, z których jeden wynosił 40,000 funtów szterlingów. Wiesz ty, co to jest 40,000 funtów szterlingów? Wiesz ty, *że to jeden koń wygrał*, wiesz ty, że takiego konia mieć, to majątki, to miljony! wiesz ty kapliczko, że ja mam takiego konia, wiesz ty, że ja wygram, wiesz ty, że wyścigi w Warszawie!” I znów odskoczył, i znów się rozśmiał na całe gardło. Biedna żona patrzała jak na warjata.

— Mężu, Rafałku, znów cię napadło, co ci się dzieje, co tobie po wyścigach?!...

— Kiedy ci mówię, że hrabia Lagrange.....

— Ale przecie tu tyle nie wygrywają, a potem co tobie...

— To wygram mniéj, ale wygram wszystko. I tak będę wygrywał każdą razą. Ha, ha, ha!

Lecz nagle znów się strasznie zachmurzył.

— Rozumiesz teraz bąbeleczku, dla czego ci się pytam, wiele ja ważyć mogę?

Żona z przestrachem cofnąwszy się w tył, wybełkotała:

— No, więc?...

— Jeszcze nie dorozumiewasz się. A toć ja będę wyścigował, a toć ja jeździć umiem, tylko —niestety—ważę jeszcze bardzo dużo. Ale odtąd jeść będę mało, nic prawie, nadewszystko bąbeleczku strzeż się dawać mi placuszki i te inne przysmaczki, bo te mnie tak tuczą.

Zacząwszy zaś od dzisiaj, nie jem obiadu!”

Wyrzekłszy te słowa z godnością, zostawił żonę z otwartemi usty z podziwienia i przestrachu; sam zaś poszedł do stajni.

W stajni stały prócz fornalek, cztery swojskie człapaki kłapouche, z grubemi obrosłemi nogami, ale mocne, wytrwałe do drogi i do pociągu. Tuż obok stał gniady wałach, rosły i żylasty. Na nim to przed trzema jeszcze laty doganiał pan Rafał z chartami zająca,— zwał się Ścigaj. Od trzech lat jednak miał chleb łaskawy, i chyba ekonom przejechał się na nim, lecz czynił to bardzo ostrożnie, bo znał z tradycji przymiot Ścigaja, że gdy w polu zoczył kota, nie można wstrzymać go było, ani łańcuszkiem munsztuka, ani ludzką siłą. Pan ekonom zaś nie był wcale amatorem łamania karku po górach i wądołach, z przeszkodami lub bez przeszkód.

Kiedy pan Rafał wszedł do stajni, wałach obojętnie gryzł wiązkę siana. Jadł byle jeść, z nudów lub dla zwyczaju, zupełnie tak, jak to u nas często książki się czyta. Obojętnie przyjął klepanie ręką jegomościa, nie zwrócił nawet łba, gdy go zawołano pieszczotliwie po imieniu. „Ścigajku! szeptał miłośnie pan Rafał, a wygrasz ty na wyścigach? A nie zrobisz ty mi wstydu, a pogonisz ty jeszcze tak jak dawniéj za chartem?”

Nikt nie odpowiadał, a więc „kto milczy, ten zezwala.” Pan Rafał rozpalał się coraz bardziéj, miał nawet wielką ochotę zaraz go dosiąść na próbę, lecz zmrok tymczasem dobrze już zapadł. Odszedł więc, postanawiając wczas się położyć, aby nie myśleć o żołądku, który całéj téj dlań nowéj historji nie pojmując, gwałtownie dopominał się satysfakcji. Nadarmo pani Rafałowa, przynosiła mu po przed nos najwyborniejsze przysmaczki, nic kuszenie nie pomogło; pan Rafał dla wyższego celu, umiał cierpieć. W nocy jednak przypomniał sobie, że kiedyś i gdzieś czytał, ile to gimnastyka dobrych wpływów wywiera, jak ćwiczy siłę, hartuje zdrowie, a co nadewszystko, czyni giętkim i smukłym. Ledwie z niecierpliwości rana mógł doczekać. Skoro świt, wstał, poszedł do kowala i kazał sobie ulać dwie ręczne ośmiofuntowe kule, zwane halteresami alias hantlami. Żeby zaś czasu nie tracić, dosiadł wałacha i popędził w szerokie łany. Jeżeli mówimy, „popędził” to rozumiemy tu sporego tylko kłusa, bo mimo batoga, prośby i nawoływań, wałach jakoś zapomniał o dawnéj rycerskości, i w galop się puścić nie chciał. Co gorsza, że kiedy nagle tuż z pod kopyt, kot się wymknął, wałach nie poczuł w sobie ani iskry dawnej ambicji, i nie przyśpieszył.

— Zastał się, mruknął pan Rafał, niechno ja mu dam gołego owsa, a wprawię go w codzienną wycieczkę, przypomni on sobie dawne lata!

Powrócił do domu pocieszony, i poszedł do kowala. Kowal ulał mu dwie żelazne maczugi, którychby się Herkules nie powstydził. Porwał je z zapałem pan Rafał, a lubo trochę stękał i kroplistym potem zlewał oblicze, lecz wywijał raźnie, rachując sobie w duchu, ile to za każdem machnięciem spada z niego uncji ciała. Małżonka już sobie rady dać niemogła z mężem, który jadł skromnie jak

dziesięcio-letnie dziecię; a za to wywijał maczugami, jak gladiator lub gimnastyk od Renza. Chudł też oczywiście, ale za to tak raptem z sił opadł, tak zmizerniał na twarzy, że przelękniona małżonka posłała cichaczem po doktora.

Doktór uprzedzony o wszystkiem, zagroził pacjentowi nieochybną szybką śmiercią, jeżeli się djety i gimnastyki nie wyrzecze. Długo opierał się wytrwały i konsekwentny pan Rafał; aż nareszcie uległ prośbie żony i groźbie doktora, lecz od planu nie odstąpił, tylko, że tą razą miał być ofiarą kto inny. Na Grzelę to, karbowego i *forszmana* zarazem padł ten honor. On to miał zamienić karby na lejce, sukmanę na żokejską kurtkę. Grzela przystał zrazu na wszystko, bo nie wiedział o co chodzi; a sądził, że tylko na tem skorzysta, mniéj godzin w dniu potrzebując pracować. Lecz gdy mu kazano trząść się po 4 godzin dziennie na wałachu, w arenie umyślnie na ten cel zrobionéj po za stodołami; gdy pan Rafał z zegarkiem w ręku, stojąc i licząc minuty, kazał mu akuratnie stawać u mety, pod karą powtórzenia choćby dziesięć razy tego samego na czczo i głodno; zafrasował się mocno nasz Grzela, i począł żałośnie na swą dolę wyrzekać. Nadaremnie wnosił instancję do jejmości, jejmość wolała Grzelę poświęcić niż męża, kazała mu więc zawsze być tylko cierpliwym.

Ćwiczył się więc Grzela od rana do nocy na upartym wałachu, niechcącym sobie dawnych lat przypomnieć; ćwiczył się a chudł widocznie, że aż miło, że aż serce z radości biło młotem panu Rafałowi.

Nareszcie, gdy już nadszedł czas wyścigów, gdy Grzela zważony sumiennie, niewiele więcéj ważył od półrocznego cielaka, wybrał się pan Rafał w drogę do Warszawy. Wyjechał tygodniem wprzódy, lubo tylko mil kilkanaście mieszkał od Warszawy; lecz umyślnie urządził takie etapy, żeby wałacha nie strudzić. Chciał mu nawet nogi ubrać na wzór angielskich rumaków, w flanelowe pończoszki; ale go Grzela powstrzymał słuszną refleksją, że się zedrą na krzemienistym gościńcu.

Żadna matka nie wyszafowała tyle czułych spojrzeń na córkę mającą iść za mąż, żaden kochanek na pierwszy swój płomień; ile pan Rafał na zacnego wałacha. Zajechano do Warszawy. Pan Rafał wybrał pieczołowicie hotel najbardziéj zbliżony do rogatek Mokotowskich. Z wielkiemi ostrożnościami, sam osobiście wprowadził go do stajni, sam rozesłał mu słomę, sam nałożył owsa, sam podał kubeł z wodą, sam przyniósł nawet grabie do... tu jednak wyręczył go niemniéj gorliwy Grzela. Nazajutrz, było to na dwa dni przed wyścigami wyszedł pan Rafał na miasto; lecz broń Boże na jaką przechadzkę lub rozrywkę, nie! odkładał to na *post festum*. Wyszedł żeby się wypytać o szczegóły wyścigów. Kiedy skręcał z rogu ulicy, zetknął się z jakimś wysokim, kościstym jegomością tak silnie, że ten ostatni aż zaklął: „kiż tam djabli!”

— O! przepraszam.

— Jegomość spojrzał z podełba, a potem krzyknął:

— Rafale, kolego, toż to ty!

— Toż ja panie Anzelmie, a ty tu co?

— A ty tu?

Byliby obaj długo jeszcze wypytywali się: „co ty tu,” lecz tłum przechodzących przeszkadzał; pan Anzelm przeto starym zwyczajem, rzecze:

— Chodź no na wódeczkę, pogadamy.

— „Masz racją.” I poszli do cukierni, tuż obok, świcącéj złotemi oznajmującemi litery.

— Kiedy palnęli jeden i drugi kieliszek, rozsiedli się wygodnie na krzesełkach, a pan Anzelm zaczął:

— Wełnę przywiozłeś?

— Nie.

— Interesa hypoteczne?

— Ani to.

— Z kobietą swoją jesteś?

— I to nie.

— Ano to cóż? przecież nie na spacer przyjechałeś w tych ciężkich czasach?

— Hm, hm, Anzelmie tobie się zwierzę. Otóż wiedz, że ja tu na wyścigi przyjechałem. Mam konia,— araby za nic i wszystkie modne angliki. Swojska rasa, ale co za bieg, co za skład!

— Hm, hm, zkądże to tobie nagle zachciało się końmi popisywać? Przecież wiem, żeś się nigdy tem nie zajmował. No przecież mi pokażesz tę szkapę?

— Szkapę, szkapę! zmarszczył się pan Rafał.

— A jeźdźca nająłeś, boć przecie sam nie możesz się ścigać?

— Mam żokeja, który zakasuje wszystkich urodzonych anglików.

— A to zkąd?

— Ba! zobaczysz.

— Wiesz co, gotówem zaraz iść z tobą.

— Nie mój kochanciu, obaczysz, ale już na miejscu. Powiedz mi teraz tylko, gdzieby tu i jaki ubiór sprawić dla naszego Grze... chciałem powiedzieć żokeja?

Rozśmiał się serdecznie pan Anzelm, ale rzekł powstając:

— No chodźże zemną, to już tam jakoś zaradzimy, luboć radbym dziś poznać twoją Rosynantę.

Poczciwy pan Anzelm wystarał się dla żokeja o czerwoną kurtę, jasne szarawary, biret żokejski i t. p. potrzebne przybory. Pan Rafał ściskał go z wdzięczności z całéj siły, ale konia przecie nie chciał pokazać. Bał się po prostu uroku. Każdy ma swoje gusła, i Napoleon miał swoją gwiazdę!

Poobwijanego i pobłogosławionego wałacha, wyprawił p. Rafał przed komitet rozpoznający kwalifikacje, sam dziwnie wzruszony popędził w tyle dryndulą.

Zgromadzeni znawcy, widząc operację Grzeli, zwolna i ostrożnie ściągającego przeróżne z wałacha powijaki, sądzili, że ujrzą ósmy cud świata, a przynajmniéj antylopę w postaci smukłego rumaka, lub coś podobnego. Lecz gdy stanął przed niemi grubopłaski człapak, nie pierwszéj młodości i nie drugiéj choroby, wybuchli wszyscy jednomyślnie tak głośnym śmiechem, że stojący po za niemi z dumą pan Rafał, myślał, że powarjowali.

Sądząc jednak jeszcze, że się myli, zbliża się do tuż obok stojącego i pyta nieśmiało:

— A z czego to taki śmiech?

Zagabnięty jegomość, odejmując chustkę od oczu ze śmiechu załzawionych, rzecze:

— Bo widzisz pan Dobrodziéj, jakiś przedpotopowy szlachciura przysłał nam poobwijanego starego wałacha, każąc nam go admirować publicznie! ha, ha, ha!

— Jakto, to pan Dobrodziéj myślisz, że to lichy koń? zapytał drżącym od gniewu głosem.

— Ależ nie myślę, bo aż nadto o tem jestem przekonany.

— Otóż wiedz pan, że tym szlachciurą, którego konia niechcesz pan admirować, jestem ja!

Zaargumentowany w ten sposób jegomość, aże się cofnął bąknąwszy jakieś przeprosiny; popatrzywszy jednak na strasznie zaalterowanego pana Rafała, wybuchnął znowu tak głośnym śmiechem, że zwrócił w tę stronę powszechną uwagę. Piorunem rozszedł się szept między obecnymi, że oto właściciel ósmego cudu świata stoi przed niemi. Mimo więc arcy-przyzwoitéj maniery, silącéj się nie dać poznać rozbudzonéj wesołości, wesołość ta mimowoli elektryczno - sympatycznie wzrastała, okalając oburzonego i osłupiałego pana Rafała dość niedyskretnym chichotem. Spojrzał raz jeszcze piorunująco pan Rafał; potem krzyknąwszy na Grzelę, żeby natychmiast wracał, siadł na bryczkę, niesłuchając nawet słów jednego z panów:

— Dać go do włościańskich!

Lecz Grzelę nienadarmo uczono nabrać angielskiego obyczaju. Przejął on z nim razem i spryt angielski spekulacyjny. Wypytawszy się bowiem, co to znaczą słowa: „dać go do włościańskich," jeździł podobno na wyścigach, lecz już nie w żokejskiéj kurtce, ale po staremu w sukmanie; i jak nam mówiono, wygrał zakład niewielki wprawdzie, ale nadzwyczaj go zadawalniający.

A pan Rafał? Pan Rafał o mało ze zgryzoty nie zachorował. Minęła go bowiem znowu okazja zrobienia kroci. Miał nawet chwile, że się chciał zastrzelić lub przynajmniéj wyzwać na pojedynek, kilku z owych sędziów; lecz poczciwy pan Anzelm, znający go oddawna, umiał mu to trafnie wyperswadować: że to nic więcéj ani mniéj nie było: tylko nikczemna przeciw niemu, a raczéj jego dzielnemu wałachowi wymierzona *intryga!*

Uwierzył pan Rafał; i obecnie pracuje, jak nas zapewniano, nad sporządzeniem olbrzymiéj akustycznéj trąby, za pomocą któréj możnaby z balkonu swego dworu, (nie potrzebując się silić na wyjazdy), rozmawiać z najdalszemi sąsiadami siedzącemi również na balkonach swoich dworków.

Edward Lubowski.



Wyścigi konne.—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Szymborski).

Dla czytelników naszych nieobznajmionych z wyścigami konnemi warszawskiemi, podajemy rysunek zdjęty na miejscu z téj zabawy, która odbyła się w dniach 17 i 18 czerwca r. b. Nadmieniamy, że jest to jedna z ulubionych uroczystości, dla mieszkańców Warszawy. Wyścig zwykle się kończy biegiem koni włościańskich z Czerniakowa lub Wilanowa, i ten jest dla nas najbardziéj interesujący, i zdaje nam się najpraktyczniejszy.

(Przyp. Red.)

Sprostowanie.—Artykuł pod tytułem: „Dwie kamienice w Warszawie," umieszczony w Nr. 24 *Opiekuna Domowego*, przez pomyłkę został w spisie rzeczy podcyfrowany nazwiskiem **J. K. Turskiego**, gdyż takowy przez Redakcję jest wzięty wprost ze źródeł historycznych miasta naszego wszystkim znanych.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 23 Czerwca (5 Lipca) 1865 r.